

Ewa Nowak

SPOTKANIE W ZOO

(fragment powieści *Diupa*)

O drugiej Damroka była umówiona się z chłopakiem od papugi, a raczej od żuka. Miała jeszcze godzinę i zamierzała wykorzystać ją na to, by odpowiednio się do spotkania przygotować. Spojrzała jeszcze raz na wybrane wczoraj ubrania. Czarny golf, haftowana w tureckie wzory kamizelka i rozszerzane spodnie. W porządku. Teraz ona sama.

Energicznie pochyliła się do przodu i zaczęła szczotkować włosy. Spięła je w kok na czubku głowy. Potem starannie naniosiła na twarz fluid, beżowy cień na powieki, potraktowała rzęsy podwójną porcją tuszu i zabrała się za paznokcie. Miała zamiar użyć lekko fioletowego lakieru, żeby pasował do wzorku na kamizelce.

Kiedy skończyła, była za dwadzieścia druga. Oceniała w lustrze całość swojego dzieła.

„Tragedia. Czterdziestolatka sprzedająca na bazarze”.

Przez chwilę patrzyła na nie swoje odbicie i rzuciła się do kranu. „Co ty robisz, idiotko? Rozum ci odebrało?”. Namydliła gąbkę i z pasją zaczęła szorować twarz.

Punktualnie o drugiej była przy wejściu do ZOO. Prawe oko ciągle łzawiło i było bardzo czerwone (na skutek niedawnego kontaktu z mydłem), a twarz błyszczała od kremu do cery wrażliwej. Paznokcie schowała w czerwone, wysadzone na wierzchu małutkimi koralikami rękawiczki i nie miała zamiaru ich ujawniać.

Zanim złapała oddech, oko przestało ją piec. Było już dziesięć po drugiej. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że tylko ona jedna mogła pomyśleć o tym wejściu. Przecież główne jest to od Ratuszowej. O tym przy moście Gdańskim mało kto wie. Ona zna je doskonale, bo kiedy była mała, mama bardzo często zabierała ją na spacer do ZOO, ale chłopak, z którym się umówiła na pewno nie ma o nim zielonego pojęcia. „Co za idiotka ze mnie!”. Czym prędzej kupiła bilet ulgowy i pognęła przez ZOO. Miała przed sobą dobre dwa kilometry.

*

Żuk zrobił się ciepły. Teraz zaczynał być już nawet wilgotny. Wiktor międlił go w ręce jak talizman. Niedziałający talizman. „Mogła chociaż przyjść po żuka. Po żuka? Jesteś debilem — żuka to może sobie kupić drugiego. Ciekawe skąd ona go ma? Pewnie dostała od jakiegoś chłopaka. Chociaż gdyby dostała go od chłopaka, to tak łatwo by go nie oddała. Ale może już nie jest z tym chłopakiem i dlatego tak łatwo jej to przyszło. Może to on ją rzucił? A jeśli ona ma chłopaka?” Wiktor poczuł, że zaczyna boleć go głowa. „No, trudno. Coś się po prostu nie zaczęło, więc przynajmniej się nie skończy”. Schował żuka do kieszeni i założył czapkę. Było mu zimno. A dwadzieścia po drugiej było już jasne, że może spokojnie zniszczyć swoją perfekcyjną fryzurę.

Gdyby powstał jeszcze półtorej minuty, zadyszana Damroka wpadłaby prosto na niego, ale on ze smętną miną kupił bilet i od razu przy flamingach skręcił w prawo, potem w lewo i zatrzymał się przy papugach. Były tam dwie identyczne jak Diupa *Ary ararauny*. Żółte brzuchy, turkusowe skrzydła, lekko zielone na główkach. Bajeczne. Wiktor na próbę ostrożnie wysunął żuka z kieszeni, ale widząc jak zerwały się i natychmiast przyczepiły do kraty, skrzeczając w niebogłosy, schował go czym prędzej.

*

— Mam do wyboru biegać jak szalona po całym ZOO albo wrócić do domu — Damroka podejmowała życiową decyzję.

Postanowiła pobiegać.

Okrążyła flamingi od lewej strony i już z daleka zobaczyła jakiegoś chłopaka krzyczącego do papug „Ara, ara!”. Może to on? Szczerze mówiąc, nie bardzo pamiętała jak wyglądał jej znajomy z tramwaju. Miała cichą nadzieję, że się domyśli i przypnie sobie żuka, żeby go mogła rozpoznać. Cała sytuacja zaczynała ją bawić. I już myślała jak to wszystko opowie Biljanie.

— Hej! — zabrakło jej tchu, więc zamachała beztrąsko ręką w czerwonej rękawiczce. — To ty?

Chłopak odwrócił się z bardzo głupią miną.

— Słyszałeś... o papudze... co wyfrunęła... z tramwaju?

— Ach, to ty. Myślałem, że nie... to znaczy... poszedłem, bo było już... cześć! — uradował się szczerze Wiktor.

— Słuchaj, ja... pomyliłam wejścia, ba ja... mieszkam... — Damroka ledwo łapała oddech. — Damroka. — Wyciągnęła do niego rękę w bardzo zasadniczym geście. Potrzymała ją chwilę w powietrzu i, zanim Wiktor zdążył coś zrobić czy powiedzieć, schowała za siebie.

— Ach te paznokcie, cholera!

— Słucham?

— Nic, nic... Jak ci na imię?

— Wiktor.

— Żartujesz? Wiktor?

— Czemu cię to dziwi?

— Myślałam, że Piotrek albo Paweł, nie śmiałam przypuszczać, że Wiktor.

— Czyli myślałaś o mnie?

— Oj, proszę cię, męczysz mnie bardzo ten rodzaj konwersacji. To, że leciałam tu z wywiezionym językiem jeszcze nie znaczy, że chce mi się z tobą tak głupio gadać. Leciałam, bo nie lubię się spóźniać i... w ogóle to fajnie tak latać i kogoś szukać. Dużo ciekawsze niż po prostu przyjść, a ten ktoś już jest.

— Sorry, to gadanie się już nie powtórzy. Fajnie wyglądasz. Tak normalnie. Wiesz, ja też myślałam, jak ty będziesz wyglądać...

— I co?

— Nie jestem zadowolony. Nie dziw się. Dawno już zauważyłem, że im większą wagę dziewczyny przywiązują do jakiegoś wyjścia, tym gorzej wyglądają. Prześledziłem to dokładnie na przykładzie mojej siostry i mamy. Kiedy po prostu gdzieś idą — myją ręce i wychodzą, ale gdy się gdzieś szykują — malują się, robią coś takiego ze sobą, że wyglądają znacznie gorzej niż na co dzień. Zawsze mam wrażenie, że w operze moja mama czuje się źle, na imprezę siostra robi sobie na twarzy coś takiego, że mam ochotę wzywać pogotowie. Chyba wpadłem w słowotok... Z czego się śmiejesz? Kobietom w ogóle nie powinno się mówić, że gdzieś wychodzą, bo wtedy wyglądają najgorzej. Dlatego jestem rozczarowany brakiem czerwonych warg i niebieskiej farby na oczach, wtedy poczułbym się dowartościowany jako mężczyzna.

— Oj, szkoda, że nie widziałeś mnie wcześniej. Dowartościowałbyś się. Właśnie tak wyglądałam.

— Naprawdę? To według mojej teorii znaczy, że troszeczkę ci zależało.

— No... może trochę. Wiesz, pierwsze wrażenie i te rzeczy. To znaczy. w naszym przypadku drugie.

Z trudem oderwali się od papug. Wiktor za nic nie chciał uwierzyć, że imię Damroka w ogóle istnieje. Uwierzył dopiero, kiedy zobaczył legitymację szkolną na nazwisko Damroka Anna Czerdesz i oczywiście podejrzwał jej datę urodzenia. Potem wspólnie rozważali, jak Diupa odnalazła ich na Bartniczej. I tak dotarli do szympansów.

— Masz mojego żuka?

— Jasne. Zaraz ci pokażę jak wyszedł. Napracowałem... to znaczy, nie było z nim żadnego kłopotu. Ale krzywo go przypięłaś, daj. Nie po to tyle się nad nim nasiedziałem, żeby teraz wisiał tak krzywo.

— Tylko mnie nie ukłuj.

Stanęli naprzeciw klatki. Damroka znieruchomiła jak żona Lota, a Wiktor zaczął nerwowo gryźć dolną wargę. „Ależ ona genialnie pachnie!” — pomyślał, gdy poczuł zapach kremu dla cery wrażliwej. Ręce trzęsły mu się niemiłosiernie.

— Zimno ci?

— Nie. Powód jest całkiem inny.

— Ale proszę, nie mów... — popatrzyła na niego bardzo ciepło. — Patrz jakie te szympansy są nieszczęśliwe.

— „Uwaga! Zwierzęta rzucają odchodami” — przeczytał Wiktor. — Ale kapucynki, to już całkiem co innego.

Stanęli na wprost dużego wybiegu dla kapucynek. Mieli do dyspozycji dwudziestometrową poręcz, ale stanęli jedno obok drugiego. Ich kurtki stale szeleściły, ocierając się jedna o drugą.

— Dla nich te kraty nie istnieją. Zobacz jak się przytuliły. Wręcz splotły. One chyba są szczęśliwe — snuł rozważania Wiktor.

— Ja myślę, że się kochają.

— Kpisz?

— Nie. Jeśli nie widzą krat i są szczęśliwe w niewoli, to to musi być miłość. Tak samo jest z ludźmi. Co za różnica, gdzie są, co się dzieje. Mogą nie mieć nic. Miłość to taki wypełniacz. Zastępuje wszystko.

Wiktor popatrzył na Damrokę i dotarło do niego, że jest niesamowicie ładna. Szkoda, że jej tego nie powiedział. Damroka od lat miała nie najgorsze mniemanie o tym, co ma w głowie, a wygląd... Najchętniej zmieniłaby w nim... wszystko.

Idąc do gadziarni, gdzie akurat była czasowa wystawa motyli, Wiktor wyciągnął z kieszeni kurtki pokruszoną do granic przyzwoitości szarlotkę.

— Kto piekł? Genialna! — powiedziała Damroka z pełną buzią.

— Szkoda, że nie mogę cię rzucić na kolana i powiedzieć, że to ja. Ciotka piekła. Zresztą nie wiem. Jesienią wszystkie kobiety w naszej rodzinie pieką szarlotki.

— Możesz rzucić. Po prostu następnym razem ty upiecz — powiedziała z niewinną miną.

— Nie obraż się, ale jako berbecia ojciec upuścił mnie na podłogę i cierpię na okresowy niedosłuch. Czy dobrze usłyszałem: „następnym razem”?

— Słuchaj Wiktor, dobrze nam się gada, ty chyba też tak sądzisz. — Wiktor z zapalem kiwnął głową. — A ja mam stosunkowo mało osób, z którymi mi się dobrze gada, dlatego tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

— Możesz się śmiać, ale ta randka przeszła moje najśmielsze oczeki...

— Randka? Ja nie przyszedłam na randkę. Przyszedłam po żuka. Brzydzę się randkami. Tym głupim gadaniem, udawaniem, graniem kogoś. Ja przyszedłam poznać nowego człowieka.

Wiktor aż otworzył usta. To było coś! „Przyszła poznać człowieka. Mnie”.

Warszawskie ZOO może rzeczywiście nie jest najmniejsze, ale żeby oglądanie zwierząt zabrało komuś cztery godziny, to nieco dziwne. Damroka i Wiktor najdłużej zabawili przy żubrach. Te gigantyczne zwierzaki mają ogromne, szare, suche jak papier ścierny języki i uwielbiają pożółkłe liście klonu. Kiedy podczas karmienia jeden z nich mało co nie zgarnął razem z roślinami rękawiczki Damroki, ta czym prędzej ją zdjęła. Zupełnie zapomniała o fioletowym lakierze.

— Jaka to przyjemność kogoś karmić — wyznał Wiktor. — Zaczynam rozumieć swojego ojca. On uwielbia pichcić i potem nas tym częstować. Odkąd wiadomo, że jest chory, ciągle coś robi dla nas i dla siebie.

— Twój ojciec jest chory? — Damroka uważnie na niego spojrzała.

— Tak. Serce.

— To poważne?

Wiktor kiwnął głową.

— Jak to serce.

— Ja bym się kompletnie załamała, gdyby mojej mamie coś było. Załamuje mnie już sama myśl o tym.

— Próbowałam z tym załamaniem. Jakies dwa lata temu. Obraziłem się na wszystkich i wszystko. Zawaliłem szkołę, treningi — całość. Tylko, że to nic nie dało. Nie pomogło. Od tego ojciec nie wyzdrowiał.

— I co?

— Z chorym sercem ludzie żyją latami, więc robię tak jak on: żyję, jak umiem najlepiej.

Wiktor nie lubił się zwierzać. Teraz sam się zdziwił, że to wszystko powiedział. I to obcej dziewczynie. Dziewczyny zawsze go onieśmiały. Nawet te, które znał od lat z treningów — trochę się ich bał. „Co mi się stało?” — zapatrzył się w wielkie pyski młazujących żubrów.

Damroka przyniosła jeszcze jedną sporą porcję klonu dla zwierząt i wyraźnie patrzyła nie na Wiktora.

— Co cię tak zainteresowało?

— Patrz na te dzieciaki, ale im dobrze — w dużej kupie liści tarzały się trzy brzdące, a mamy z zapalem je fotografowały.

— Przecież i ty tak możesz.

— Wiesz co? Poczekajmy chwilę, aż sobie pójdą.

I kiedy tylko mamy zgarnęły swoje dzieci do wózków i oddaliły się w stronę wyjścia, Damroka z radością rzuciła się w liście, śmiejąc się przy tym jak opętana.

— Nareszcie! W parku zawsze mam na to ochotę, ale boję się psich odchodów. No chodź! — obrzuciła Wiktora liśćmi. — Korona ci z głowy nie spadnie, najwyżej czapka.

Chwilę porzucali się liśćmi, po czym nogami zagarnęli je znów na kupkę. Wiktor przypomniał sobie swoje marne próby umawiania się z dziewczynami i to uporczywe wrażenie, że robi z siebie idiotę. To milczące chodzenie bez celu i udawanie mądrzejszego niż się jest. Roześmiał się do swoich myśli.

— Umiesz się bawić, bez dwóch zdań.

— Po prostu już dawno zrozumiałam, że każda chwila jest... nie chcę być patetyczna, ale jak z niej teraz nie skorzystam, to już nigdy.

— Czyli *carpe diem*.

— Tak, tylko bez tej otoczki filozoficznej. Po prostu. Tyle mam problemów, że muszę je jakoś równoważyć.

— A jakie ty masz problemy?

— Żadnych, tak mi się powiedziało. Ale fakt, lubię żyć.

„Lubi żyć, przyszła poznać człowieka”. Postanowił kupić coś Diupie. Z podziękowaniami.

W końcu wyszli tym drugim wyjściem, od Wybrzeża Kościuszkowskiego.

— Damroka, wiesz... zanim się... wiesz, pamiętam co tam mówiłaś przy tych małpach. Ja chciałem ci powiedzieć, że mnie zawsze ZOO nudziło. Nigdy bym nie przypuszczał, że tu może być tak fajnie. Wiesz o co mi chodzi?

— Chyba wiem — bardzo ostrożnie powiedziała Damroka. — Następnym razem, o znów ten następny raz, zamkniemy się we dwoje w lochu pełnym szczurów i jeśli też będzie fajnie, to...

— To wtedy będziemy wiedzieli. Chociaż ja już wiem.

I Wiktor bardzo mocno splótł przed sobą palce. Gdyby tego nie zrobił, z pewnością rzuciłby się Damroce na szyję.